



KATARZYNA FETLIŃSKA  
GLOSSOLALIA

Katarzyna Fetlińska

# Glossolalia

Biuro Literackie ♦ Wrocław 2012

## *Masks confronting death, 1888*

Carne vale. Pożegnanie z ciałem. W masce  
możemy stawić czoła śmierci, kiedy biel  
kielekuje na powiekach Ostendy i przenika  
marmur – wieko, całun, zapadłe pod ziemię

dziewczęce uśmiechy. Włóż nam między zęby:  
zebra, odarte z włókien cynaderki. Carne  
levare. Pożegnanie z mięsem, na zaślinionych  
wargach taniec śmierci. Za nami lepkie ślady

tarlisk, oddechów i pary: nieruchoma natura  
kochanków, winniczych, ślimaczych i śniętych.  
Możemy się kochać jak lalki – bełkocząc, bez  
troski zaciskając kościane piąsteczki. Jak

papieże z dziećmi. Carrus navalis. Pożegnanie  
z wdziękiem. Pomachaj mi z brzegu – odpływam,  
więc spluń przez ramię. Pochowaj w piasku:  
maskę, włók i rybaka – pierścień.

## *Breakfast in Fur, 1936 (on the Grass, 1863)*

Śniadanie w trawie czy futrze? Wybierajcie, panowie: czas na piknik, taka nasza natura – martwa. Doświadczamy lata na własnej, gęszej skórze. Rose Sélavy, niech żyje eros i naga prawda; wznieśmy więc toast za życie, póki poszycie

soczyste i miękkie; a nam miłe pożycie i słowa, skraplające się cicho na nerwach, jak ślina na brzegu filiżanki obszytej sierścią. Który mnie stworzyłeś – dlaczego pędzłem nalaleś mi sadła za skórę i muszę słuchać rozmów toczonych aż po

wieczność. Patrzeć w obiektyw sztalug, na wieki wieków prześwietlona: soczyste krągłości wytoczone na trawę, na widok publiczny – mechate podszerstkiem brzoskwinie, wisienki poczerniałe słońcem. Szkoda, że nie mam wpływu:

nie mogę odwrócić głowy albo chociażby kichnąć, łaskotana wyrosłym na krawędzi porcelany włosiem. Boże, dlaczego. Wypełniłeś kosze owocami, nagimi kobietami – futra i klatki kostkami marmuru bez skrzydeł. Niech żyje sztuka! Boże,

dlaczego świat wynaturzasz i w Bois de Boulogne umieściłeś Eden: Adama Buonarotti i Ewę, wodzącą na biczowanie wśród drzew morwowych. Wyglądamy na sztucznych, a tak bardzo chcielibyśmy stać się bardziej zwierzęcy, zadziorni, gryzący

i zamiast dostawać wilka – usiąść w kawiarni, zjeść bezę, wywarczyć: *ermine furs adorn the imperious*\*. Zanurzyć usta w ciepłym futrze, obudzić w sobie Wenus i zwierzę. O nicości mówić tylko szczerze. Na koniec łyż otrzeć – łyżką, talerzem.

\* Królestwo za norkę.

## Taglioni's Jewel Casket, 1940

Dałam się zaszufładować i niewiele mi zostało, mówię, oszlifowany kryształ – kostki lodu w dębowej szkatułce. Właściwie nic: to również stopnieje i wsiąknie w ziemię. Podobno

cudnie było stanąć *en pointe* i w poprzek drogi na zdartej skórze, carskim futrze – mroziło, a ty spode łba patrzyłeś, przez palce, twardy i wsparty o kibitkę, jej burtę. Od zimna pękały

drzewa, a od tańca wargi: wreszcie zrozumiałeś balet, a ja poczułam wilgoć na własnym skalpie; ale to nic – wolę chodzić nago, niż znosić ludzką skórkę. Nikt się nie urodzi, nikt się nie dowie

i wcale nie trudno. I wcale nie szkoda. Ja też uwierzyłam w legendę – sama wyryłam epitafium, aksamitem wyścieliwszy trumnę: wśród kolii nosiłam kryształową kulkę, ku pamięci nocy

kiedy tańczyłam (oddałam bez walki) na irbisowym futrze (słomie i końskim gównie), wokół wielkie nieba i mróz (nóż) na gardle osiadał tak miękko, w pół nocy (w południe), *der Himmel gestirnte*

*über mir (und kein moralische Gesetz in mir).*

I wszystkie damy się zachwycaly – och, jaka piękna opowieść. Ja również. Rozmawiałam o miłości do Wiednia, o transcendencji i romantycznej

sztuce. W rękę zaciskając kryształ, zapominałam  
(z bólem): jak to jest napluć na talerz, posągom  
zadać pytanie i szczerze schlać się Veltliner Grüner.  
Wkroczyłam więc na scenę i w nową epokę –

wiedeńskie bale zaroily się od elfów, sylfid i najad,  
zwiastując świt pantomimy pod moim ostrokrzew-  
nie wiecznie żywym tytułem. Pudło. To też straciłam.  
Przy kryształowej zastawie i mokrych udach

uczennic to wszystko brzmiało sztucznie. Skończyłam  
więc na odbiciu szkła w lustrze, w Nowym Jorku, w  
artystycznej trumnie. Dałam się na oczach dam  
zaszufladkować – na lodzie, w gablocie – podwójnie.

## *Les Amants, 1928*

Czy jeśli położę się na tobie, będę rzucać cień? Czy rozwinie się torbiel, czy wytropię cierń? Nowa twarz, kolaż, malarka, abordaż. Małe fale: nie zadrżysz, nie zdarzy się nic. Zdyszane spadniemy z dachu, jak zwykle. W malignie, do szynkwasu, choć bez szyku. No chodź. Znów cisza. Po krzyku. Czeka mnie nowa martwa matka, znów kundel zaszczeka i będą mnie grzebać. Wśród kur. Gdakanie, pijane pianie. Szanowne panie: lejmy jajami. Spływam po płótnie, cieniuję i zasycham, potworząc skorupę, więc zedrzyj mnie, proszę, albo zdrap wszystkie strupy. Nie przydam się na nic, nanizana na nitkę, przewrócona na nice.

Czy jeśli wejść w ciebie, to wzniesiemy się jak balony z helem, czy będziemy spadać jak krople i wniesiemy piekło na językach butów? Czy wzniosą za nas toast zmartwychwstałe matki? Bozie. Buzie. Bazie. *La fille de l'homme*, nie chowaj już twarzy za kotką, za wierzchem dłoni, za morzem namalowanym na murze, za murami w zamrożonym morzu. Czy kiedykolwiek, gdziekolwiek cię zobaczę, czy za wzgórzem śnią spalone miasta? Już czuję dym, a Ty mówisz: *Ceci n'est pas une pipe*. I mimo wszystko się nabijamy, wypalamy. Niespieczone na jednorodną masę, na nagar na garbatej, zaciernionej drodze. Patrzymy sobie w usta, puszczone za pirs z torbami, za skorupą farby, miast oczu.

## *Sanatorium, 1973*

Przyleciałaś z bliska, no i po co zamówiłaś pokój  
w tym domu. Pamiętam, pielęgniarki przecinały druty,  
drżące linie mojego łona, wokół których zaciskałaś  
palce. Dzięki tobie nasz dom oświeśla milion słońc,

*powiedziałaś, rozbijając szklankę. W naszych*  
skromnych progach zamrożone wrony, trzaskające  
kości i drzwiczki do wygasłych wulkanów. Skrzypiące  
bramy u stóp łonowych wzgórz. Zamówiłaś telegraficznie

dom. W moim spokoju, brawo, słowo daję, rosółek na  
żeberkach matki. *Li, li, laj; się porobiło.* Przestań. Nie słucha  
cię żadna z płyt. Nie widzi cię żaden z obrazów, żaden  
z aktorów po drugiej stronie sukni. Nie chce cię ani jedno

miasto na mapie mojej pamięci, ani jeden człowiek, którego  
świat byłby sobie w stanie wyobrazić. Ani jeden uśmiech  
rzucony w szybę przedziału, ani jedna łąza zgubiona w trawie,  
telefon kurczowo uczipiony krawędzi kieszeni; nawet żadne

słowo – kostka lodu – cicha śmierć na dnie szklanki.



## *The Son of Man, 1964*

Co kryjesz pod woskowo lśniącą skórką? Już nie zielony – nabrałeś rumieńców pod czujnym boskim okiem i jestem pewna, że twoje ciało stało się słowem: rajskie, wężowe, dojrzałe wokół gniazd

nasiennych. Widzę ciebie gołym, bez mrugnięcia, okiem – Parysie, synu człowieczy. Z piany przyboju wynurzyłeś żonę – co z tego, jeśli nigdy mnie nie poznasz: zamiast pod powieki, rzucimy się w morza

owoce. Kondycja ludzka: skok na głęboką wodę, prosto w objęcia, lśniące więcierze, mosty zwodzone niezrozumiałym i niepoczytalnym losem. Od tysięcy lat, oko w oko, dzieci boże. Pod niebem zazębiamo się

głosem. Adamie, synu człowieczy – wszystko od nowa – nowe; jesteśmy sobie jabłkiem w oku, niezmiennie, na wiosnę i na niezgodę. Każdy choć raz odwiedził raj albo Troję, na wzór Venus Pudica zawstydział się

w zachwaszczonym ogrodzie. Z zamkniętymi oczyma wychwalamy Prawdy, cywilizacyjny dorobek. Ja też dałam się nabrać – na Pańskie oko, na właściwą drogę. Dziś pode mną skamienia się sól i morze

jest we mnie, zjeżone łuską; więc idę w kierunku człowieka. Mój boże: wiem, że nic nie da się zrobić, dlatego zanim splamię się grzechem, przesłonię ci

## *Last Minute, 2010*

Rozwiesili palmy i chrapy wielbłądów  
pieściły parapet sterczący na biodrach  
rachitycznych blondynek. W retuszu  
plakatów brakowało im zmarszczki  
bądź przyszczy nad wargą; oazy  
miały w sercu lub w dupie, jak Atlas  
obarczone kamieniem.

Bardzo dobrzy z nas ludzie. Podzielmy  
się wszystkim – czerstwą skórą chleba,  
snem, wąsami i zezem rozbieżnym.  
Poderżnijmy gardła, niechaj mury  
trysną, jak łono kariatydy z Itaki  
hojnie obdarzone potrójnym  
penisem. Porządni z nas

ludzie. Gęsiego w pizdu, za Bogiem  
człapiemy. Odbija się parkiem  
przetrawionym zielenią, no i popatrz,  
wypaczone to wszystko. Niby niebo,  
niebyt. Na chwilę nieśmiertelni  
pozdrawiamy policjantów w kulbakach  
dromaderów, czyjś numer

telefonu, nieaktywne nazwisko  
na rozdartym czole. Nie może być  
zbyt pięknie, zgodnie z oczekiwaniem  
zrównajmy oazy z pustynią. Nic  
nie zginie w naturze, bo dobrzy  
z nas ludzie, bez serca

*i bez żadnej skazy.*

# Spis wierszy

<i>Masks confronting death, 1888</i> . . . . .	7
<i>Three Figures and Portrait, 1975</i> . . . . .	8
<i>Laughing Children with a Cat, 1629</i> . . . . .	9
<i>Breakfast in Fur, 1936 (on the Grass, 1863)</i> . . . . .	10
<i>Taglioni's Jewel Casket, 1940</i> . . . . .	11
<i>Fresh Widow, 1920 (on Façades – replica, 1964)</i> . . . . .	13
<i>The Young Ladies of Avignon, 1907</i> . . . . .	14
<i>The Piano Lesson, 1916</i> . . . . .	15
<i>Les Amants, 1928</i> . . . . .	16
<i>Nighthawks, 1942</i> . . . . .	17
<i>Two Children Are Threatened by a Nightingale, 1924</i> . . . . .	18
<i>Apollo and Daphne, c. 1622</i> . . . . .	19
<i>Guernica, 1937</i> . . . . .	20
<i>Kunstkamera</i> . . . . .	22
<i>In Absentia, 2000</i> . . . . .	24
<i>A Bar at the Folies-Bergère, 1882</i> . . . . .	27
<i>Corpus Hypercubus, 1954</i> . . . . .	28
<i>Philomela Listening to a Nightingale, 1816</i> . . . . .	29
<i>Sanatorium, 1973</i> . . . . .	30
<i>Bestie, 1920 (Cliché-verre)</i> . . . . .	31
<i>Naked Woman Climbing a Staircase, 1937</i> . . . . .	32
<i>Dance of Life, 1900</i> . . . . .	34
<i>Nimfa, 1985</i> . . . . .	35

<i>The Son of Man</i> , 1964 . . . . .	36
<i>Rainy Taxi</i> , 1938 (Commedia dell'arte) . . . . .	38
<i>Dora Maar with Cat</i> , 1941 . . . . .	40
<i>Last Minute</i> , 2010 . . . . .	42
<i>The Epiphany</i> , c. 1495 . . . . .	43

**Książka dostępna w księgarni**

